GLOBALNIE · OPINIA

LIBAN PROTEKTORATEM USA? IZRAEL WALCZY Z LIBAŃCZYKAMI, NIE TYLKO Z HEZBOLLAHEM

Karol Kaźmierczak · 8 czerwca 2026

Władzom Libanu wydaje się, że rozgrywają partię szachów, w istocie może to być poker, w ręku zaś trzymają blotki.

Władze Libanu wdały się w proces negocjacji z Izraelem pod auspicjami Stanów Zjednoczonych. To radykalny ruch wbrew paradygmatycznemu stanowisku nieuznawania istnienia Izraela. Próba prezydenta Aouna i premiera Salama zamienienia jednego z najbardziej specyficznych krajów świata w amerykański protektorat może mieć dla Libanu opłakane skutki.

To Donald Trump ogłosił rozejm, rozpoczęty 16 kwietnia, w wojnie Izraela przeciw Libanowi. Tak właśnie trzeba to ująć – w wojnie przeciw Libanowi. Narracja, że Izraelczycy walczą tylko z Hezbollahem, nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Z rąk Izraelczyków zginęło do 26 maja 3185 Libańczyków, a 9633 zostało rannych.

Wśród ofiar są kobiety i dzieci, które według szacunków organizacji ABAAD z 1 maja stanowią ponad 18 proc. zabitych. Wśród tych, którzy zginęli i zostali ranni, są również żołnierze państwowych sił zbrojnych Libanu. Zniszczonych zostały tysiące lokali mieszkalnych, mosty i inne elementy infrastruktury.

> Bellingcat oszacował, że 46 z 54 miejscowości pod izraelską okupacją zostało „znacznie" zniszczonych lub „zrównanych z ziemią". Według danych Narodowej Rady Badań Naukowych Libanu do 8 maja Izraelczycy zniszczyli 61 056 jednostek mieszkaniowych w tym kraju. W szczycie działań wojennych z domów uciekło 1,2 miliona Libańczyków, głównie z obszarów na południe od rzeki Zahrani, wobec których Izraelczycy formułowali oficjalne zalecenia ewakuacji, choć nie tylko stamtąd.

W warunkach rozejmu tylko część z tych ludzi mogła wrócić do domów. Według ONZ liczba uchodźców wewnętrznych w Libanie, którego populacja wynosi 5,3 mln, nadal może sięgać nawet 800 tys.

Fikcja rozejmu

Rozejmowi towarzyszą pierwsze od 1993 roku bezpośrednie negocjacje między Izraelem a Libanem, który

oficjalnie nie uznaje państwowości tego pierwszego. Zostały rozpoczęte na szczeblu ambasadorów dwóch państw w Waszyngtonie, przy mediacji sekretarza stanu Marca Rubio. W ostatniej – trzeciej – rundzie uczestniczył już 14–15 maja były ambasador Libanu w USA Simon Karam i bliski współpracownik izraelskiego premiera Ron Dermer.

Rozejm, pierwotnie przewidziany na 10 dni, 23 kwietnia przedłużony został o trzy tygodnie, a 15 maja na kolejne 45 dni. Rozmowy zostały od razu odrzucone przez Hezbollah. Jego sekretarz generalny Naim Kasim określił je jako „daremne", a z kręgu organizacji padły wręcz słowa o „zdradzie" Libanu.

Zawarcie w kwietniowym dokumencie rozejmowym sformułowania, że Izrael nie toczy wojny przeciwko państwu libańskiemu, już jest istotnym dyplomatycznym ustępstwem jego władz. Ceną, jaką płacą one za oficjalny rozejm, jest kontynuowanie negocjacji z Izraelczykami, którzy domagają się spotkania na szczycie prezydenta Josepha Aouna z premiera Binjaminem Netanjahu. Tyle że władze Libanu płacą za fikcję.

Już w czasie pierwszej rundy negocjacji w podsumowującym ją dokumencie zapisano, że Izrael ma prawo do okupacji obszarów zajętych na południu Libanu w toku eskalacji zbrojnej, jaka rozpoczęła się 2 marca. W punkcie 3 porozumienia rozejmowego zapisano co prawda, że Izrael nie może podejmować jakichkolwiek „działań ofensywnych" przeciwko jakimkolwiek celom w Libanie, ale jednocześnie jest uprawniony „do podjęcia wszelkich niezbędnych środków samoobrony w dowolnym momencie przed planowanymi, nieuchronnymi lub trwającymi atakami". Jest to zapis niesymetryczny – dla Libanu nie zawarowano tego rodzaju prawa do jakichkolwiek prewencyjnych uderzeń.

Jeśli Tel Awiwowi pozostawia się prawo do decydowania o tym, co jest „planowanym" czy tylko dopiero potencjalnym „atakiem", to można być pewnym, że będzie swoje działania zbrojne kontynuował. I tak się dzieje. Trwają starcia w strefie okupacji. Trwają bombardowania terytorium Libanu, w tym przedmieść jego stolicy.

> Nadal masowo wyburzana jest cywilna infrastruktura. Nie tylko przy okazji działań zbrojnych, lecz także w ramach planowej kampanii minowania i wysadzania bądź rujnowania zabudowy buldożerami. Wyraźnie nasiliła się ona od początku trumpowskiego „rozejmu". Burzone są domy mieszkalne Libańczyków, którzy nie mogą wrócić na swoją ojcowiznę, bez względu na to, czy cokolwiek jeszcze na niej stoi.

W demonstracyjnym bombardowaniu pierwszego dnia teoretycznego zawieszenia broni zginęły 254 osoby, a rannych zostało co najmniej 837. Poza nim tylko w kwietniu zginęło co najmniej 95 osób. 13 maja, dzień przed rozpoczęciem trzeciej rundy negocjacji, na skutek izraelskich ataków zginęło 22 Libańczyków, w tym ośmioro dzieci. Nowa faza eskalacji rozpoczęła się 25 maja.

Próba izolacji Hezbollahu

We wstępie porozumienia rozejmowego podkreślono istnienie „wyzwań, z jakimi mierzy się państwo libańskie ze strony niepaństwowych grup zbrojnych, które podważają suwerenność Libanu i zagrażają

stabilności regionalnej", oraz wolę „ograniczania" działalności takich aktorów, a także formalnie zaakcentowano, że to nie państwo libańskie jest w stanie wojny. Sformułowania te w oczywisty sposób wymierzone są w Hezbollah i mają na celu jego delegitymizację i polityczną izolację. Dodatkowo podkreślano, że poprzez porozumienie „Liban skutecznie pokazuje swoją zdolność do egzekwowania swojej suwerenności", co ma także izolować protektora Hezbollahu – Iran, co jeszcze bardziej zaakcentowano w punkcie 5, w którym zapisano, że żadne inne państwo niewystępujące w porozumieniu nie może przedstawiać się w roli „gwaranta" sytuacji w Libanie.

Izrael uzyskał zgodę na okupowanie terenów południowego Libanu, które zajął po 2 marca. 17 kwietnia sam jednostronnie ogłosił „żółtą linię" mającą wyznaczać zasięg okupacji. Warto przypomnieć, że „żółta linia" w Strefie Gazy wyznaczona rozejmem z października zeszłego roku stała się tam praktycznie strefą śmierci dla Palestyńczyków, ostrzeliwanych nawet w przypadku zbliżania się do niej. Użycie tej nazwy w Libanie można potraktować jako wyraz izraelskich intencji. Siły zbrojne Tel Awiwu od dawna suflują rządowi Netanjahu, by zamienił południowy Liban w stałą „strefę buforową", pozbawioną mieszkańców i infrastruktury. Podkreślić należy i to, że od zeszłego roku Izraelczycy przesuwają „żółtą linię" w Strefie Gazy. To samo właśnie zaczęli robić w Libanie.

Okupacja to oczywisty atut w negocjacjach – zastaw terytorialny. Zwrócić jednak trzeba uwagę, że zastaw ten jest mniejszy od izraelskich zapowiedzi z marca. Binjamin Netanjahu mówił, ogłaszając rozejm, o utrzymywaniu „strefy buforowej" o szerokości 10 kilometrów na północ od oficjalnej granicy Izraela. W praktyce w niektórych miejscach izraelska armia nie dobrnęła nawet na tę odległość. Strefa taka odległa jest od celu oparcia strefy okupacyjnej o rzekę Litani, jak było to w latach 1978–2000, który wyrażali sam Netanjahu czy jego czołowi ministrowie. Do jakiegoś stopnia podważa to percepcję potęgi wywiadowczej i militarnej Izraela i jego politycznej sprawczości.

Maszyna się zacina

Hezbollah stawił Izraelczykom nadspodziewanie dla nich zacięty opór, wracając do koncepcji wojny partyzanckiej i utrzymując ostrzał rakietowy terenu Izraela. Skutecznie hamował postępy Izraelczyków, na których szpicy byli rzucani żołnierze sił powietrznodesantowych, co narażało ich na konieczność długich walk na tyłach. Szyiccy bojownicy potrafili tygodniami rozniecać opór w Bint Dżubajl czy Al-Chijam, już po tym, jak izraelska armia ogłaszała ich opanowanie.

Bojownicy Hezbollahu operują obecnie małymi oddziałami. Podstawowe znaczenie mają zasadzki, ataki z zaskoczenia, ostrzały moździerzowe i snajperskie. Zdecentralizowano strukturę zbrojnego segmentu ruchu. Według nieoficjalnych informacji Hezbollah znacznie ograniczył używanie elektronicznych środków komunikacji. Wrócono do używania środków tak analogowych, jak kurierzy z kartkami papieru.

Jednocześnie jednak Hezbollah używa również awangardowych metod walki. Stosuje na coraz szerszą skalę drony, zwłaszcza aparaty FPV na przewodzie, wobec których nieskuteczne stają się izraelskie narzędzia walki radioelektronicznej. Drony okazują się bardzo groźne dla izraelskiej piechoty i są w stanie zdezorganizować ruch sprzętu pancernego, czasem skutecznie uszkadzając nawet czołgi Merkawa, jak uwidoczniono to na szeroko komentowanym nagraniu z przełomu kwietnia i maja.

Na początku bieżącego miesiąca Hezbollah zdołał uderzyć dronem w wyrzutnię Żelaznej Kopuły na terytorium Izraela, a część źródeł mówi nawet o sześciu trafionych wyrzutniach tego kluczowego systemu

izraelskiej obrony.

Tak dronami zostało 20 maja zaatakowane stanowisko dowodzenia 401. Brygady Pancernej Izraela – ciężkie obrażenia odniósł jej dowódca, ppłk Meir Biderman. Według doniesień izraelskiego nadawcy publicznego KAN z 18 maja zagrożenie dronowe ze strony Hezbollahu doprowadziło do zarzucenia 80 proc. akcji izraelskich żołnierzy w Libanie, a ich odpowiedź na to zagrożenie nadal jest w znacznej mierze improwizowana.

Ostatnie ciosy wywarły takie wrażenie, że 26 maja Netanjahu ogłosił rozpoczęcie operacji „Strzały ognia". Towarzyszyło temu bombardowanie i ostrzał artyleryjski 47 miast i wsi w południowym i wschodnim Libanie. Biorąc pod uwagę, że media donoszą o powtórnych powołaniach nawet dla tych rezerwistów, którzy niedawno wrócili do domów, można spodziewać się intensyfikacji działań lądowych izraelskiej armii.

Organizacja libańskich szyitów rozwiała wrażenie, jakie pozostawił po sobie finał poprzedniej wojny, z 2024 roku – jakoby została w znacznej mierze rozbita i pozbawiona kłów. Potencjał odstraszania Hezbollahu został przywrócony i znów jawi się on jako istotny gracz.

Dyplomacja i siły w terenie

Na wstępie bieżącej eskalacji nie rozumiał tego jeszcze libański premier Nawaf Salam, który wydał już pierwszego dnia – 2 marca – oficjalny zakaz używania broni przez członków Hezbollahu, który pozostał oczywiście na papierze.

W ciągu kilkutygodniowej wojny o wysokiej intensywności nie stało się nic, co dawałoby oficjalnym władzom więcej atutów wobec tej organizacji niż w 2024 roku, kiedy to poprzednicy Salama również proklamowali rozpoczęcie procesu jej rozbrajania, czego – jak pokazała kolejna runda wojny – nie byli w stanie przeprowadzić.

Salam został wyłoniony jako premier Libanu w lutym 2025 roku, miesiąc po tym, gdy parlament kraju zdołał nareszcie, po 26 miesiącach politycznego klinczu i „bezkrólewia", wybrać nowego prezydenta. Został nim dowódca sił zbrojnych Libanu, generał Joseph Aoun.

Przedstawiciel starej sunnickiej elity Bejrutu (wuj Salama był czterokrotnym premierem Libanu w XX wieku, a kuzyn był nim w ubiegłej dekadzie), absolwent Sorbony i Harvardu, pozostający jednak latami poza wewnętrzną polityką, a obok niego wojskowy przedstawiciel maronitów, wśród których zawsze najwięcej było zwolenników ugody z Izraelem –najwyraźniej postanowili trwale zmienić krajową scenę polityczną i pozycję międzynarodową kraju.

Dlatego też najpewniej bez większych oporów zgodzili się oni na zobowiązanie oficjalnych władz zawarte w punkcie 4 porozumienia rozejmowego do podjęcia „znaczących kroków w celu uniemożliwienia Hezbollahowi i wszystkim innym [...] przeprowadzania jakichkolwiek ataków, operacji lub wrogich działań przeciwko celom izraelskim".

Izraelczycy i Amerykanie wprost interpretują to jako otwarcie drogi do całkowitego rozbrojenia organizacji libańskich szyitów, co podnoszone jest też w publicystyce zwolenników rządu. Jednocześnie jest to jednak jasna manifestacja polityczna frontu sił maronickich i elementów sunnickich, korzystających z am-

biwalentnego stanowiska druzyjskiej Postępowej Partii Socjalistycznej. Najwyraźniej ich politycy dostrzegli szansę uzyskania protektoratu USA i wsparcia arabskich monarchii Zatoki Perskiej dla prób wzmocnienia swojej kontroli nad państwem.

Wybór Aouna i Salama odbył się między innymi przy wsparciu dyplomacji Arabii Saudyjskiej, która pomagała pozyskać poparcie sunnitów. Szybko zdobył on aprobatę administracji Trumpa. Obóz Salama i prezydenta Josepha Aouna uzyskał więc dyplomatyczne wsparcie dla swoich władczych aspiracji. Za tymi aspiracjami brak jednak realnej siły w terenie. Hezbollah udowodnia każdego dnia wojny, że tę siłę posiada.

Próba zmiany równowagi sił wewnątrz Libanu poprzez zmianę jego zaangażowania międzynarodowego musi spotkać się z jego oporem. A kraj ten, mimo że niewielki, ma już doświadczenie wielkiej wojny domowej.

Siła libańskiego Hezbollahu wynika przede wszystkim z realnego zakorzenienia społecznego. Pozostaje głównym reprezentantem szyitów, którzy w ciągu ponad 80 lat istnienia Libanu wyrośli na największą grupę konfesyjną, a ciągle zajmują w hierarchii społeczno-polityczno-ekonomicznej kraju miejsce niższe niż maronici czy sunnici. Chrześcijan nie sposób traktować jako jednej grupy społecznej wobec konfesyjno-polityczno-tożsamościowych rozbieżności między maronitami a prawosławnymi czy nawet melchitami.

> Hezbollah od początku XXI wieku był najsilniejszym aktorem szerszej plejady sił politycznych tradycyjnie wrogich Izraelowi, orientujących się niegdyś na baasistowską Syrię, przywiązanych w jakimś zakresie do arabskiej tożsamości i ekumeny oraz zajmujących co najmniej ściśle neutralistyczne i wielowektorowe stanowisko. Plejada ta obejmowała od 2006 roku wieku pogrobowców baasizmu i naseryzmu, pansyryjskich socjal-nacjonalistów, sunnicką lewicę, a także siły chrześcijańskie od Wolnego Ruchu Patriotycznego po maronicki klan Farandżijów i ich Maradę. Jeśli pozycja Hezbollahu może zostać podważona, to przede wszystkim przez manewrowanie polityczne.

Polityczny kalejdoskop

Aoun i Salam wyraźnie dążą do zmiany równowagi sił, politycznego izolowania i obezwładnienia Hezbollahu, co ma prowadzić do rozproszenia tej luźnej ligi stronnictw antyizraelskich i neutralistycznych, jaka narodziła się 2005 roku pod mianem Sojuszu 8 marca. Ma to utwierdzić władzę obecnego prezydenta i premiera wbrew pstrokatemu chaosowi i niestabilności sceny politycznej Libanu.

Rzecz w tym, że Liban nie jest standardowym państwem narodowym, lecz od swojego powstania był raczej praktyczną konfederacją różnych grup konfesyjnych czy wręcz kulturowych, biorąc pod uwagę rozszczepienie tożsamościowe maronitów. Powtarzające się od 2011 protesty liberalnych środowisk wielkomiejskiej młodzieży, wyrażające negację partykularyzmów konfesyjnych i odwołujące się do pojęcia narodu obywatelskiego, nie znajdują odzwierciedlenia w życiu politycznym kraju.

Próba zbytniego przeciągnięcia liny na swoją stroną przez jedną ze wspólnot na rzecz zmiany status quo tego swoistego konfesyjnego konsocjonalizmu krzesze iskry mogące rozniecić wojnę domową. Jak straszna, brutalna, krwawa może być taka wojna, pokazał konflikt, który wybuchł w 1975 r. W jego ogniu polityka stała się już nie konfesyjna, ale wręcz neofeudalna, zwłaszcza w przypadku maronitów, którzy potrafili kierować broń przeciwko sobie, jak w czasie rozprawy klanu Dżumajilów z Farandżijami.

Polityka libańska nadal pozostaje w dużej części grą rodów. Jakkolwiek by to zabrzmiało, to właśnie Hezbollahowi najbliżej do klasycznego, europejskiego pojęcia partii politycznej, jako grupy służącej czemuś innemu niż klanowe interesy, grupy napędzanej konkretną ideologią. Gdy więc amerykańska dyplomacja powtarza, że jedynymi uprawnionymi do decyzji i działań w imieniu Libanu są jego prezydent i premier, to jest to czysto formalistyczne podejście, nieuwzględniające społeczno-politycznych realiów Libanu.

Jest on konfederacją różnych społeczności, z których część stoi na zdecydowanie antyizraelskim stanowisku z powodów ideologicznych bądź jak najbardziej pragmatycznych, jak mieszkańcy południa kraju, głównie szyici, śpiący teraz w namiotach na przedmieściach Bejrutu i oglądający, jak Izraelczycy wysadzają ich domy. W 2024 roku we wspólnocie szyickiej, także wśród części sunnitów, uchodźców palestyńskich, których jest w Libanie 200–480 tys., wybrzmiewały wyraźne głosy niezadowolenia z powodu ostrożnej, symbolicznej reakcji militarnej Iranu na izraelską pacyfikację Strefy Gazy i uderzenia na ich kraj, co też jest świadectwem nastrojów ulicy.

Niemniej, jak zawsze w Libanie, polityczna układanka jest bardzo skomplikowana, a kolejny obrót kalejdoskopu mógł przekonać Aouna i Salama do próby izolowania Hezbollahu. Wolny Ruch Patriotyczny zdystansował się od dawnych partnerów w atmosferze konfliktu o wybór nowych władz – przeszedł do oficjalnej opozycji (co w libańskim systemie politycznym zawsze jest pojęciem względnym) i popiera jakąś formę deeskalacji i rozmów rozejmowych. Choć WRP retorycznie żąda zakończenia izraelskiej okupacji Południa oraz odmawia uznania Izraela i bezpośrednich negocjacji z nim, to zarazem coraz częściej rozlegają się z jego strony głosy na rzecz rozbrojenia głównej organizacji libańskich szyitów. To o tyle ważne, że Ruch był głównym chrześcijańskim partnerem Hezbollahu, stwarzającym przeciwwagę dla Sił Libańskich i dawnej Falangi. Trzeba jednak podkreślić, że drogi WRP i Hezbollahu zaczęły się rozchodzić jeszcze w 2023 roku na tle wyboru prezydenta kraju.

Szyicki duumwirat

Znacznie głośniejszy sygnał alarmowy stanowić może dla Hezbollahu postawa politycznego weterana, przewodniczącego parlamentu i lidera drugiej siły tworzącej do tej pory polityczny duumwirat szyicki – Amalu. Nabih Berri początkowo przychylił się od marcowej deklaracji premiera zakazującej Hezbollahowi działań zbrojnych przeciw Izraelowi. Jednak w „nagrodę" ludzie Amalu także stali się celem najbardziej masowego izraelskiego bombardowania Libanu na rozpoczęcie „rozejmu". Berri akceptuje sam pomysł negocjacji, ale jednocześnie podkreśla, że nie mogą się one toczyć, gdy rozejm nie jest przestrzegany przez Izraelczyków i gdy nadal okupują oni południe kraju. Jego stanowisko zdaje się z biegiem czasu raczej utwardzać i nie można mówić o zerwaniu z Hezbollahem.

Ten ostatni nie daje żadnych sygnałów gotowości do ustępstw. W artykule prasowym z 19 maja Mohammad Raad, przewodniczący parlamentarnego bloku Hezbollahu w radykalnych słowach skrytykował ofi-

cjalne władze i wezwał do zbrojnego oporu, co zaprzeczyć miało pojawiającym się wcześniej w mediach izraelskich i amerykańskich tez o dekompozycji ruchu właśnie przez narastanie antagonizmu między skrzydłem politycznym i militarnym.

> Władze Libanu wdały się w proces negocjacji z Izraelem pod auspicjami Stanów Zjednoczonych. To radykalny ruch wbrew paradygmatycznemu stanowisku nieuznawania istnienia Izraela. Próba prezydenta Aouna i premiera Salama zamienienia jednego z najbardziej specyficznych krajów świata w amerykański protektorat może mieć dla Libanu opłakane skutki.

Nadzieja na protektora

Sposób, w jaki rząd Salama prowadzi negocjacje, wskazuje, że wierzy on w możliwość funkcjonowania Libanu jako protektoratu USA, wspieranego dodatkowo przez mgławicową obecnie, ale wieszczoną przez niektórych, zwłaszcza izraelskich polityków, szukających już na horyzoncie nowych wrogów, oś sunnicką. Izraelczycy określają w ten sposób potencjalną formułę koordynacji polityki Arabii Saudyjskiej, Kataru, Turcji, wspieranych ze skrzydła gwarancjami atomowego Pakistanu, który formalnie udzielił już takowych Saudom.

Podstawowym problemem nowej linii polityki zagranicznej Aouna-Salama pozostaje fakt, że żadne z tych państw mniemanej osi nie przejawia woli tak daleko idącego zaangażowania w Libanie jak Iran. I żadne z nich, może poza Turcją, nie wydaje się mieć takiej siły przebicia. Dość wspomnieć o kompromitującej porażce zbrojnej interwencji Saudów w Jemenie przeciwko irańskiemu sojusznikowi, Ansarullahowi, w latach 2015–2019, a nawet niemocy w kwestii obrony własnego terytorium wobec irańskich uderzeń odwetowych.

Turcja w przeciwieństwie do nich jest siłą militarną z prawdziwego zdarzenia, ale wbrew szumnej retoryce Recepa Tayyipa Erdogana, nawet w Syrii, gdzie od półtorej roku rządzi jej protegowany, Ankara nie odważyła się na wdrożenie realnego powstrzymywania Izraela przed atakami i wykolejaniem struktur nowego państwa, mozolnie kleconych przez Ahmada asz-Szarę.

Nie pomógł mu w końcu w tym względzie najpotężniejszy sojusznik – sam Donald Trump, który odegrał główną rolę w legitymizowaniu byłego wodza syryjskiego skrzydła Al Kaidy jako legalnego przywódcy państwowego i utorował asz-Szarze drogę na scenę międzynarodową. Część syryjskiej prowincji Suwajda nadal jest opanowana przez druzyjską frakcję Hikmata al-Hidżriego – Tel Awiw wykonywał już w zeszłym roku demonstracje militarnej protekcji nad nim. To gotowy argument na rzecz sprzeciwu Hezbollahu wobec obecnej agendy i formuły negocjacji, w jakie wdał się libański rząd – Izraelczycy nie zrezygnują na mocy żadnych układów z jakiejś formy kwestionowania suwerenności Bejrutu nad południowym Libanem, i ani USA, ani monarchowie Zatoki Perskiej czy republikański „sułtan" w Ankarze nie stanowią wiarygodnego sojusznika przeciw izraelskiej woli ingerencji.

Wiarygodności Amerykanom, jako ewentualnemu mediatorowi i protektorowi Libanu, nie dodaje także to, że rozpoczęli wojnę z Iranem pod silnym wpływem sugestii i interesów izraelskiego specjalnego sojusznika. Gdy rakiety i drony wystrzeliły, USA nie osłoniły swoich arabskich protektoratów nad Zatoką Per-

ską, koncentrując się na obronie Izraela.

Działania administracji Trumpa sprawiają wrażenie jak zawsze obliczonych na uzyskanie szybkiego pijarowskiego sukcesu, dopisania sobie na portalach społecznościowych kolejnej zakończonej wojny, w najśmielszych planach – uznania Izraela przez Liban. Ile jednak są warte tego rodzaju sukcesy, pokazuje sytuacja w Strefie Gazy, wciąż okupowanej, gdzie nadal giną ludzie i niszczone jest ich mienie.

Strategia chaosu

Jak wynika z ostatniej rundy rozmów (14–15 maja), choć główną rolę w rozbrojeniu Hezbollahu ma odgrywać armia państwowa Libanu, Amerykanie dopuszczają jakiś model siły trzeciej z mandatem szerszym niż UNIFIL, w której strukturach miałby się znaleźć ich wojskowy przedstawiciel i reprezentant sił zbrojnych Izraela. Administracja Trumpa ma odrzucać nie tylko misję ONZ, ale jakiekolwiek zaangażowanie państw europejskich, zwłaszcza Francji, której prezydent USA ma za złe uznawanie pewnej politycznej reprezentatywności politycznego skrzydła Hezbollahu.

W czasie konfliktu, jaki wybuchł w 1975 roku, armia państwowa Libanu, a właściwie jej oficerowie, okazała się niezdolna do stanięcia ponad partykularnymi tożsamościami i interesami. Rozpadła się, wspierając różne strony ówczesnej barykady. Proces taki byłby tym szybszy i bardziej piorunujący, gdyby obecne władze zdecydowały się na realizację scenariusza nagłośnionego pod koniec kwietnia przez sekretarza stanu USA Marca Rubio, który zaproponował tworzenie i zbrojenie przez Waszyngton w libańskiej armii specjalnych, „elitarnych" oddziałów z amerykańskimi oficerami łącznikowymi, które miałyby zrealizować działania pacyfikacji Hezbollahu na podstawie informacji izraelskiego wywiadu. Taka próba przekształcenia części armii w askarysów Trumpa to gotowy scenariusz nowej wojny domowej.

Jeszcze w sierpniu zeszłego roku pomysłom takim sprzeciwił się naczelny dowódca libańskiej armii gen. Rodolphe Haykal. Według przecieków medialnych odmówił też zbrojnego wystąpienia przeciw Hezbollahowi w marcu, wskutek czego narasta wrogość między nim a premierem Salamem. Ten ostatni szuka możliwości wymiany Haykala, ale już wystąpił przeciw temu Berri.

> Izrael nie przestrzegał w praktyce poprzedniego rozejmu, zawartego w listopadzie 2024 roku – w przeciwieństwie do Hezbollahu nadal wymierzając ciosy militarne i okupując co najmniej pięć punktów na przygranicznych terenach Libanu w okresie przed marcową eskalacją. Wobec tego trudno stwierdzić, że 2 marca libańscy szyici „zaczęli wojnę".

Już w czasie ostatniej wojny w Izraelu wybrzmiały z miarodajnych kręgów hasła anektowania tej części libańskiego terytorium, tak jak już dawno Izrael zrobił to z syryjskimi Wzgórzami Golan. Postulat od marca przedstawiało wiele izraelskich środków masowego przekazu, mówił o tym także minister Becalel Smotricz. Choć reprezentuje on radykalnego koalicjanta Likudu, nie trudno zauważyć, że partia Netanjahu wobec Zachodniego Brzegu wykonuje posunięcia kolonizacyjne wpisujące się w hasła podnoszone niegdyś tylko przez religijnych syjonistów.

Izrael jest obecnie nie na etapie *modus vivendi* z nieuznającymi go aktorami regionalnymi, tylko militarnego hegemonizmu, polegającego na agresji wobec każdego, kto choćby potencjalnie może wyrosnąć na

aktora zdolnego do oporu. Jest na etapie militaryzmu szybkich ruchów, wzmaganego przez brak wyraźnych, stałych granic dla izraelskiej polityki ze strony Trumpa. Tak bardzo spolegliwy amerykański prezydent może się szybko nie zdarzyć. Izrael zdolny był do dwukrotnego w ciągu roku rozpoczęcia wojny z Iranem, której konsekwencje ponosi dziś cały świat. Jak wielką naiwnością jest liczenie, że okaże się powściągliwy wobec Libanu.

Doprowadzenie do rozpadu zawsze delikatnych i opartych na trudnych konsensusach struktur politycznych Libanu i wywołanie tam kolejnej wojny domowej byłyby rządowi Netanjahu jak najbardziej na rękę.

Izrael ma już spore doświadczenie w tego rodzaju zarządzaniu przez chaos z lat 1978–1990, gdy popierał siły maronickie i gdy okupował obszar po rzekę Litanii w latach 1978–2000. Całkiem niedawno Tel Awiw testował to w Strefie Gazy, gdzie zbroił i wspierał przestępczy klan Jasira Abu Szababa, przemianowany na „Siły Ludowe", próbujące podważyć kontrolę Hamasu nad Strefą Gazy. Abu Szabab skończył z kulami w ciele w grudniu zeszłego roku, ale pozostałości jego gangu wciąż są aktywne w palestyńskiej eksklawie.

Rujnowanie południa Libanu i stymulowanie przesuwania się setek tysięcy uchodźców na północ, którym uniemożliwia się powrót, wpisuje się w strategię kreowania napięć społecznych w wielokonfesyjnym kraju, gdzie stare rany zagoiły się, ale niekoniecznie zabliźniły.

Izraelczycy za wojną

Radykalne ruchy Izraela wobec Libanu są realną możliwością. Netanjahu na wieść o akceptacji trumpowskiego rozejmu spotkał się w swoim kraju z huraganem krytyki. Najostrzejszym ze strony szefów samorządów żydowskich osiedli położonych przy granicy z Libanem, rażonych przez Hezbollah tak skutecznie, że jeszcze w 2023 roku doszło do ich opustoszenia. Nie bez racji zauważyli oni, że Hezbollah był zdolny do ostrzeliwania tych osiedli przez cały okres bieżącej wojny, zatem słowa o „buforze" są bardziej figurą retoryczną Netanjahu niż rzeczywistością. Użyli wręcz przesadzonej retoryki, mówiąc o „utracie północy" terytorium Izraela.

Nie mniej krytyczny był lider największej siły opozycyjnej, Jair Lapid. Nazwał on rozejm „strategicznym tąpnięciem", „dyplomatycznym upadkiem", „dyplomatyczną katastrofą na skalę, jakiej nigdy nie widziałem", a twierdzenia Netanjahu o sukcesie – „kompletnym kłamstwem". Podobnie krytyczna pozostaje duża część czołowych izraelskich mediów. Co ważne nawet sam Netanjahu, podobnie jak wspierające go media (np. „Israel Hayom"), jeśli nawet mówił o dyplomatycznym sukcesie, to wyłącznie taktycznym, podkreślał zaś głównie to, że rozejm nie oznacza braku możliwości wznowienia działań militarnych, premier Izraela zawarował sobie to bowiem w tekście porozumienia. I właśnie to robi, rozpoczynając nową operację ofensywną w Libanie.

Dlatego też w czasie trzeciej rundy negocjacji dało się zauważyć jeszcze większe utwierdzenie izraelskiego stanowiska, a trudno liczyć na większą koncyliacyjność Netanjahu w sytuacji, gdy wybory parlamentarne mają się tam odbyć najpóźniej w końcówce października, a mogą nawet wcześniej wobec rysującej się możliwości samorozwiązania Knesetu. Izraelska opinia publiczna jest obecnie zmobilizowana nacjonalistycznie i militarystycznie.

Zmobilizowana na tyle, że Netanjahu opierał się nawet przed wejściem w obecny proces negocjacyjny, o

który Aoun zabiegał już od marca. Przystał na zawieszenie broni, a w praktyce na zmniejszenie intensywności uderzeń na Liban bez uzgodnienia tego na forum swojego gabinetu wojennego. Potwierdzają to nieoficjalne przecieki cytowane w kwietniu przez środki masowego przekazu, twierdzące, że Trump był gotowy ogłosić rozejm jednostronnie, bez izraelskiego premiera, który aż do 10 kwietnia wykluczał możliwość podjęcia bezpośrednich negocjacji z Libańczykami, nawet bez rozejmu.

Sukces Waszyngtonu jest jednak relatywny. Iran, choć formalnie wyrzucony poza nawias procesu dyplomatycznego, w praktyce jest w Libanie i trzyma się w nim na tyle mocno, na ile silny pozostał Hezbollah. 29 marca rząd Salama posunął się do ogłoszenia ambasadora Iranu osobą niepożądaną w kraju. Mimo statusu *persona non grata* Mohammad Reza Szejbani pozostał w Libanie, co jeszcze raz pokazuje układ sił w tym kraju.

Bez lewara

Iran od ogłoszenia 8 kwietnia rozejmu z USA twardo obstawał przy tym, że musi on obejmować także Liban i Hezbollah. Administracja Trumpa traktuje izraelsko-libański proces negocjacyjny pod swoimi auspicjami jako polityczną ofensywę na rzecz ograniczenia wpływów Teheranu i wzmocnienia jego libańskich przeciwników środkami politycznymi.

Aoun i Salam oraz wspierające ich kurs maronickie Siły Libańskie i partia postfalangistowska nie mają siły, by przeprowadzić radykalne działania wobec Hezbollahu. Władze nie były w stanie rozbrajać go przed obecną eskalacją, tak jak i nie były w stanie efektywnie zakazać mu włączania się w wojnę rozpoczętą przez Izrael i USA 28 lutego. Salwy honorowe oddawane przez członków Hezbollahu od marca, przy okazji pogrzebów poległych towarzyszy, mają też funkcję polityczną – manifestowania bezsilności władz w kwestii prawa używania broni.

Mimo tego prezydent i premier Libanu wydają się gotowi na zniszczenie jedynej siły dającej realny odpór Izraelowi, bez perspektywy na budowę własnej. W dodatku próba przeprowadzenia jednego i drugiego grozi wojną domową. Bez Iranu i bez Hezbollahu obecny rząd Libanu nie ma żadnej możliwości balansu, nie ma żadnego lewara w relacji do Izraela i USA, żadnego mechanizmu, który skłaniałby je do lojalnego wypełniania podjętych wobec Libanu zobowiązań.

Aounowi i Salamowi może się wydawać, że wykorzystują Amerykanów i Izraelczyków w politycznej grze, ale nie mają żadnych narzędzi kontroli nad jej przebiegiem. To w gruncie rzeczy zdawanie się na dobrą wolę okupanta i jego bezkrytycznego, za rządów Trumpa, najbliższego sojusznika, którego wewnętrzną polityką Tel Awiw potrafi manipulować. Próba odpięcia negocjacji z Izraelem od rozmów amerykańsko-irańskich to poważny błąd oficjalnych władz Libanu.

Ostatnie negocjacje w Waszyngtonie ustanowiły pewną dwutorowość negocjacji, wydzielając agendę bezpieczeństwa z agendy politycznej. Kolejna runda rozmów w tej pierwszej sprawie, która najpewniej obejmuje też kwestię rozbrojenia Hezbollahu, ma odbyć się 29 maja, podczas gdy rozmowy polityczne zostaną przeprowadzone 2–3 czerwca. Wygląda na to, że Izrael zdołał narzucić porządek procesu negocjacyjnego, a ponieważ w negocjacjach ich wynik często zawiera się już w agendzie, Tel Awiw ma oczywistą przewagę. Szczegółowe negocjacje w dziedzinie bezpieczeństwa mają już zawsze poprzedzać generalne ustalenia polityczne. A w układzie dwóch na jednego, w jakim prowadzone są te negocjacje, jasne jest, że na stół w pierwszej kolejności w ramach agendy bezpieczeństwa będzie stawiana kwestia Hezbollahu,

a nie izraelskiej okupacji.

Organizacja libańskich szyitów może dalej się opierać, czekając na wynik konfrontacji między Stanami Zjednoczonymi a Iranem, w której ten drugi może osiągnąć strategiczne zwycięstwo, zmieniające priorytety regionalnych aktorów i układ sił na Bliskim Wschodzie.

> Wbrew temu, co się wydaje prezydentowi Aounowi i premierowi Salamowi, bezpieczeństwo i jedność terytorialna Libanu zależą właśnie od stanu gry między Iranem a Stanami Zjednoczonymi, nie papierowych deklaracji, jakie usiłują uzyskać. Wydaje im się, że rozgrywają partię szachów, a w istocie może to być szybki poker, w ręku zaś trzymają blotki.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=11SK1uONYek

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/liban-protektoratem-usa-izrael-walczy-z-libanczykami-nie-tylko-z-hezbollahem/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć